

Rozdział pierwszy

Hommes des lettres między słowami a rzeczami

Litré dobił ich, twierdząc, że nigdy nie było ortografii pozytywnej i nie może jej być.

Wynioskowali z tego, że składnia jest fantazją, a gramatyka złudzeniem.

W owym czasie zresztą nowa retoryka głosiła, że należy pisać tak, jak się mówi, i że wszystko będzie w porządku, o ile się ma wrażliwość i dar obserwacji.

Ponieważ byli wrażliwi i uważali siebie za dobrych obserwatorów, uznali, że potrafią pisać.

Gustave Flaubert²¹

Cóż za pomysł, cóż za niewiarogodna fantazja, że ten świat istnieje, że życie na nim jest też przywilejem ludzi, nie tylko zwierząt i roślin. Że to wszystko dało się przecież objąć świadomością jako tako, że coś z tego zostało ujęte w słowa.

Zofia Nałkowska²²

Konkret i abstrakt. Monboddo

O tym, że w językach ludzkich obserwuje się postęp od konkretnego do abstraktu, pisał pod koniec osiemnastego wieku James Burnett, lord Monboddo (1714–1799), jeden z ojców filozofii języka,

²¹ Gustave Flaubert, *Bouvard i Pécuchet*, przeł. Wacław Rogowicz, Warszawa 1955, s. 152.

²² Zofia Nałkowska, *Dzienniki*, t. IV, 1930–1939, cz. 2 (1935–1939), oprac. Hanna Kirchner, Warszawa 1988, s. 415.

a również jeden z tych zapomnianych dziś myślicieli, których poglądy nie są mniej interesujące niż poglądy autorów bardziej znanych czy modnych. W pierwszym z siedmiu tomów *Of the Origin and Progress of Language* poświęcił on sporo miejsca rozważaniom dotyczącym przekształcania najwcześniejszego zasobu pojęć językowych, związanego ściśle z konkretnymi przedmiotami materialnymi, w zasób pojęć oderwanych. Pozostając pod wpływem Johna Locke'a, wiązał ten proces z ewolucją władz umysłowych człowieka, a podsumowując ten wątek, stwierdził:

Thus it appears, that, from the study of language, if it be properly conducted, the history of the human mind is best learned, especially in the first steps of its progress, of which it is impossible there can be any other record than what is preserved in language.²³

Wydaje się przeto, że dzieje umysłu ludzkiego można opanować najlepiej poprzez studia nad językiem, jeśli są one poprawnie prowadzone – szczególnie zaś dotyczy się pierwszych kroków w rozwoju umysłu, po których niemożliwym jest odkryć ślady inne aniżeli te przechowane w języku.²⁴

W tomie drugim Monboddó umieścił obszerny rozdział poświęcony korzyściom wypływającym z używania pisma alfabetycznego²⁵. Wprawdzie przypisał ów wynalazek Egipcjanom, ale sformułował również i takie poglądy na temat relacji między „zapisem” a „myślą”, które pojawiły się ponownie dopiero w dwudziestym wieku. Dla tematyki poruszanej w tej książce szczególnie ważne są jego spostrzeżenia dotyczące niekorzystnego wpływu pisma alfabetycznego na procesy komunikacji ustnej oraz korzystnego – na proces transmisji ścisłej wiedzy kumulowanej w przekazie międzypokoleniowym:

²³ [James Burnett] Lord Monboddó, *Of the Origin and Progress of Language: Second Edition with large Additions and Corrections*, Edinburgh 1774, t. I, s. 574. Dzieło to nigdy nie zostało wznowione ani wydane krytycznie. W dwudziestym wieku przedrukowano je tylko jako reprint tej edycji.

²⁴ Tłumaczenia obcojęzycznych cytatów w tej książce, przy których nie podano nazwiska tłumacza, pochodzą od jej autora.

²⁵ Tamże, t. II, s. 242–269.

It cannot however be denied, that in other respects, the invention of writing has many advantages. In the first place, it is a method of communication betwixt absent persons, which, in many cases, is a matter of great utility, as well as pleasure and satisfaction. Secondly, it is without doubt the best way of preferring the memory of facts and dates; for though science, whose chief seat is the understanding, may be continued by tradition, and delivered down from father to son for many generations, not only without loss, but with increase; it is otherwise with facts, and more to still with dates, which depending solely upon memory, cannot be so exactly preserved by tradition only.²⁶

Nie sposób wszelako zaprzeczyć, że pod innymi względami wynalezienie pisma przyniosło wiele korzyści. Po pierwsze, jest ono metodą komunikacji między osobami nieobecnymi, co w wielu przypadkach jest wielce korzystne, jak również daje przyjemność i zadowolenie. Po drugie, jest to bez wątpienia najlepszy sposób przechowywania pamięci o faktach i datach; przez co wiedza, której naczelnym celem jest rozumienie, może być rozwijana przez przekaz, kontynuowany z ojca na syna przez wiele pokoleń, nie tylko bez strat, ale wręcz z dodatkami; inaczej jest zaś z faktami, a jeszcze bardziej z datami, które zależą tylko od pamięci i nie mogą być tak dokładnie przechowywane jedynie dzięki tradycji [ustnej].

Rozróżnianie „abstraktu” i „konkretnego” w materiale językowym oraz w strukturach gramatycznych było częstym motywem we wczesnych teoriach językoznawczych – pozostałością tych dystynkcji jest obecny do dziś w podręcznikach podstawowy podział rzeczowników na abstrakcyjne i konkretne. W czasach, gdy uznawano, że rozwój języków ludzkich w porządku czasowym realizuje scenariusz ewolucyjny polegający na przechodzeniu od form prymitywnych do coraz bardziej wyrafinowanych, pojęcie „konkretnego” w wyrażeniach językowych wiązano z wczesnymi etapami rozwoju społeczeństw ludzkich (dla Monbodda ilustracjami jego też były języki Indian amerykańskich), a stopniową abstrakcjonizację wyrażen językowych kojarzono z rozwojem „ducha” w cywilizacjach starożytnych, w pierwszym rzędzie antycznych. Nawet po tym, jak w naukach humanistycznych

²⁶ Tamże, s. 260–261.

porzucono ewolucjonistyczno-teleologiczne widzenie historii kultur ludzkich, a Europa, w niej zaś antyk grecko-rzymski, przestały być traktowane jako niedościgłe wzorce dla reszty świata, nadal uznawano istnienie wyraźnych różnic między „konkretnością” niektórych języków a „abstrakcjonizacją” innych. Teoretycy piśmienności z drugiej połowy dwudziestego wieku wiązali to drugie zjawisko z pojawieniem się i rozwojem pisma alfabetycznego w kręgu cywilizacji europejskiej. Używanie pisma alfabetycznego miało według nich odrywać proces językowej obróbki danych zmysłowych od ich realnych źródeł i kierować go w stronę sfery czystego intelektu.

Twierdzenia te – zwłaszcza gdy nie formułowano ich już w kontekście domniemanego postępu od prostoty do złożoności konceptualnej języków naturalnych – dotyczą rzeczywistych procesów, których zachodzenie można prześledzić w Europie na przykład na tekstach Arystotelesa, w których daje się szczegółowo dostrzec pracę, jaką myśliciel ten wykonał w celu stworzenia nowego słownika pojęć intelektualnych na podstawie wcześniejszego zasobu słownictwa i gramatyki języka greckiego²⁷. Ale ryzykowne jest w tych rozumowaniach zdecydowanie odróżnianie „konkretnych” treści językowych od treści „oderwanych”, zwłaszcza w odniesieniu do ogólnego uzusu. Odróżnienie to oparte jest bowiem na jawnym lub niejawnym, w zależności od stanowiska autorów, założeniu, według którego istnieje uchwytne konceptualnie gradacja odległości poszczególnych wyrażen językowych od sfery doświadczenia zmysłowego – zatem na przykład rzeczowniki konkretne („kot”, „stół”, „rower”), a zwłaszcza ich szczególna podklasa, jaką są nazwy własne („Jan”, „Piotr”, „John Fitzgerald Kennedy”), są bliskie tej sferze, a rzeczowniki abstrakcyjne („dobro”, „czerwień”, „małostkowość”) są od niej oddalone i należą raczej do sfery czystego intelektu. Istota różnicy ma tu polegać na możliwości wskazania konkretnego

²⁷ Paweł Majewski, *Tekstualizacja doświadczenia. Studia o piśmienictwie greckim*, Toruń 2015. Rozumowania, które przedstawiłem w tamtej książce, są punktem odniesienia dla treści tego rozdziału.

obiekty fizycznego denotowanego przez rzeczownik konkretny lub nazwę własną i niemożności wykonania takiego gestu w odniesieniu do rzeczowników abstrakcyjnych. Wychodząc z takiego założenia, uznawano więc, że stopień intelektualizacji języka czy idiolektu językowego jest proporcjonalny do stopnia abstrakcjonizacji słownictwa używanego w tym języku. W tej konkurencji w oczywisty sposób zwyciężały idiolekty nauk czystych, filozofii i religii, idiolekty wernakularne zaś, w tym zwłaszcza „mowa potoczna”, zajmowały miejsca na dole hierarchii, podobnie jak języki ludów „prymitywnych”, w których europejscy uczeni nie byli w stanie doszukać się pojęć abstrakcyjnych podobnych do tych, jakich sami używali.

Jednak cała ta – naszkicowana tu w uproszczeniu, ale silnie obecna w każdej kulturze tekstu – konstrukcja jest podatna na krytykę. Po pierwsze, odróżnienie „konkretnego” od „abstrakcyjnego” w wyrażeniach językowych jest możliwe tylko wtedy, kiedy wyrażenia te mają wyraźny kontekst pozajęzykowy. Istotnie, można wówczas wskazać realną osobę lub realny przedmiot, który nazywa jakąś nazwą, podczas gdy wskazanie w taki sposób elementu rzeczywistości fizycznej, który miałby odpowiadać pojęciu oderwanemu, możliwe jest co najwyżej jako gest symboliczny, odnoszący się do jakiejś sytuacji lub praktyki („oto jest sprawiedliwość”). Ale wystarczy zdekontekstualizować wypowiedź językową – na przykład poprzez jej zapisanie i puszczenie w obieg w postaci tekstu – aby taka ostensja przestała być możliwa. W zapisie, w tekście, nawet takie wypowiedzi, które składają się w całości z terminów konkretnych, ulegają abstrakcjonizacji. Wypowiedzenie „Jan wstał z fotela, podszedł do stołu, podniósł leżącą na nim gazetę i zaczął ją przeglądać” jest dla czytelnika niniejszego tekstu tak samo abstrakcyjne jak wypowiedzenie „sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej”, ponieważ w obu przypadkach czytelnik nie jest w stanie – przynajmniej w momencie lektury – wskazać w swoim otoczeniu materialnym konkretnych, określonych przedmiotów, stanów rzeczy ani sytuacji, które odpowiadałyby tym wypowiedziom jako ich denotaty – i na tej samej zasadzie niniejsze

z kolei zdanie pozostaje i pozostanie abstrakcyjne dla piszącego je autora, ponieważ nie postrzega on w momencie jego pisania żadnego ze swoich ewentualnych czytelników. Innymi słowy, tekst jako medium wypowiedzenia językowego nieuchronnie odrywa je od kontekstów pozasłownych bez względu na ich treść i formę językową. Takiemu tekstowi mogą towarzyszyć jedynie wizualne wyobrażenia opisanych w nim przedmiotów i stanów rzeczy, wytwarzane przez jego czytelnika i autora w sposób być może zbliżony do tego, który opisał Roman Ingarden w koncepcji „wyglądów”²⁸.

Po drugie, nawet terminy „konkretne” rzadko funkcjonują w praktykach językowych jako samodzielne całości wypowiedzeniowe (dzieje się tak jedynie w wyrażeniach wykrzyknikowych oraz niektórych rozkaznikach i równoważnikach zdań), niemal zawsze są zaś uwikłane w struktury gramatyczne wypowiedzeń złożonych. Te natomiast wytwarzają odrębny od materialnego porządek opisywanej lub odzwierciedlanej w nich rzeczywistości, który pociąga za sobą kolejną formę abstrakcjonizacji języka względem świata. Ten jej rodzaj – wynikający nie z relacji „świat – język”, lecz z wewnętrznej struktury języka – był, jak wiadomo, przedmiotem niezliczonych spekulacji filozoficznych, które nie doprowadziły do wyraźnej konkluzji, wynikało z nich natomiast sporo nieporozumień, narastających zwłaszcza od czasu, gdy prowadzący je myśliciele zaczęli zdawać sobie sprawę z możliwej odmienności widzenia świata przez użytkowników języków o odmiennych gramatykach. Najbardziej znanym przejawem takiego typu myślenia jest teza (lub hipoteza) Sapira–Whorfa, która wzbudzała w swoim czasie sporą ekscytację badaczy i legła

²⁸ Zależność wyrażen języka naturalnego od ich pozajęzykowych korelatów sytuacyjnych niepokoiła językoznawców i filozofów języka, których celem było stworzenie ścisłej (to znaczy ściśle tekstocentrycznej) teorii języka. Symptomem tego niepokoju jest pojęcie „okazjonalizmu” lub „wyrażenia okazjonalnego” stosowane przez tych badaczy dla wyróżnienia wyrażen językowych słabo poddających się zdekontekstualizowanym analizom formalno-tekstowym. Większość wyrażen języka naturalnego, zwłaszcza w jego odmianie potocznej, to okazjonalizmy.

u podstaw wielu odmian relatywizmu kulturowego, poznawczego i językoznawczego.

Lecz aby unaocznąć, jak bałamutne jest założenie o zmianie widzenia świata wskutek zmiany form gramatycznych, jakich się używa do opisu tego widzenia, wystarczy wskazać proste zdanie języka angielskiego: „He has no one to talk to”. W „lateralnym” przekładzie na język polski (takim, jakiego używano do demonstracji przerażającej odmienności języków Indian amerykańskich czy plemion Buszmenów) zdanie to wyglądałoby tak: „on-ma-nie-jeden-mówić-do”. Długo można by dywagować o tym, jak odmienny musi być świat w postrzeżeniach ludzi posługujących się tak odmiennymi strukturami gramatycznymi. Tymczasem codzienne kontakty wielu użytkowników polszczyzny z wieloma użytkownikami angielszczyzny jednak są na ogół skuteczne w wymiarze praktycznym, a jeśli występują w nich nieporozumienia, to biorą się one albo z braku kompetencji językowych, albo z osobistych uposażeń psychologicznych uczestników interakcji – nie zaś, jak wolno mniemać, z jakichś fundamentalnych różnic w postrzeganiu świata wywołanych odmiennością angielskiej i polskiej gramatyki. Nie jest wykluczone, że powodzenie tezy Sapira–Whorfa w dwudziestowiecznej humanistyce można zinterpretować z klucza psychoanalitycznego, jako symptom nieświadomego poczucia wyobcowania kultury zachodniej (w niej zaś – jej ponadprzeciętnie zintelektualizowanych i upiśmiennionych uczestników) w świecie zamieszkanym również przez reprezentantów innych kultur²⁹.

Łatwość, z jaką można podważyć spekulacje dotyczące wpływu gramatyki na postrzeganie rzeczywistości, dowodzi, że język jako narzędzie opisu świata, jego odzwierciedlania oraz komunikowania się jego użytkowników jest dla nas,

²⁹ Z kwestią tą można również połączyć obszerny temat komizmu językowego i sytuacyjnego, jaki wynika z błędnych tłumaczeń będących rezultatem zbyt słabej znajomości języka obcego. Rozbawienie, jakie odczuwamy, stykając się z takimi nieudolnymi przekładami, jest, być może, reakcją na nieświadome odczucie alienacji względem obcej kultury, a obcy język jest wyrazistym przejawem tej alienacji, zwłaszcza w aspekcie pragmatycznym.

którzy go w niepojęty dla siebie samych sposób używamy niemal od urodzenia, istnieniem tak zagadkowym, że zdarza nam się dostrzegać w nim nawet takie problemy, które w istocie są bardziej naszymi złudzeniami niż realnymi zagadkami stawianymi nam przez rzeczywistość, również rzeczywistość językową – tę nieufność do samozapętlającego się języka zaszczeplił w dwudziestowiecznej humanistyce Ludwig Wittgenstein, zwłaszcza w swoich późnych pracach. Pewne natomiast jest w tej materii to, że wszelkie rodzaje wypowiedzi językowych ulegają odezwaniu od materialnej rzeczywistości po tym, jak zostaną utrwalone na piśmie i w tekście – zwłaszcza zaś w takich odmianach pisma i tekstu, które w swoich założeniach mają wpisana taką abstrakcjonizację. Przy czym istotne jest, że w dziejach praktyk piśmiennych i tekstowych ta abstrakcjonizacja przybierała często miano uniwersalizacji.

Słowa i rzeczy. Swift

W tym momencie wywodu nie od rzeczy będzie przywołać szyderczo-radykalne rozwiązanie problemu relacji między słowami a rzeczami (czyli między językowym i materialnym porządkiem świata w umysłach ludzkich), które przedstawił Irlandczyk o pół wieku starszy od Szkota Monbodda – czyli Jonathan Swift (1667–1745) – w *Podróżach Guliwera*. Po wizytach w krajach liliputów i olbrzymów Lemuel Guliwer podczas swojej trzeciej podróży trafia do państwa o nazwie Laputa, rządzonego z latającej wyspy przez uczonych, którzy zajmują się wyłącznie matematyką i muzyką, gardząc wszelkimi innymi dziedzinami wiedzy – nawet czystej, tym bardziej zaś praktycznej – wskutek czego ich państwo znajduje się w ruinie, a oni sami pogrążeni są w permanentnym otępieniu. Guliwer odwiedza lapuciańską akademię nauk mieszczącą się na lądzie stałym, w stolicy tego kraju zwanej Lagado. Akademicy zajmują się tam na przykład projektowaniem metody przerabiania kału ludzkiego na pożywienie takie samo, jakiego substancja owa jest pozostałością,

ci z nich zaś, którzy poświęcają się dociekaniami oderwanym od praktyki, planują między innymi reformę języka:

Następnie udaliśmy się do szkoły języków, gdzie trzech profesorów zasiadło do narady, jak ulepszyć mowę ojczystą.

Pierwszy projekt zalecał skrócenie rozmów dzięki przycięciu wyrazów wielosylabowych do jednej sylaby i usunięciu czasowników oraz imiesłówów, gdyż w rzeczywistości jedynymi wyobrażalnymi pojęciami są rzeczowniki.

Drugi zakładał odrzucenie wszystkich w ogóle słów; co zalecano jako wielce korzystne z punktu widzenia zdrowia i zwięzłości. Gdyż jest rzeczą jasną, że każde wypowiedziane przez nas słowo nadgryza w pewnym stopniu nasze płuca i powoduje ich ubytek, co w następstwie przyczynia się do skrócenia nam życia. Przedstawiono wówczas środek zaradczy w postaci *przedmiotów* [things]. Słowa są jedynie ich nazwami; wygodniej więc byłoby dla wszystkich, gdyby nosili przy sobie *przedmioty* konieczne dla wyrażenia sprawy, o której chcieliby rozmawiać. Wynalazek ten z pewnością wprowadzono by w życie z wielką wygodą i poprawą zdrowia poddanych, gdyby kobiety sprzymierzywszy się z niepiśmiennym motłochem nie zagroziły buntem, jeśli nie zezwoli im się przemawiać własnymi językami, jak to czynili przodkowie. Tak nieugiętymi, nieprzejednanymi nieprzyjaciółmi nauki są prostacy. Wielu jednak z najuczeńszych i najmądrzejszych stosuje nowy sposób wyrażania się przez *przedmioty*, co sprawia kłopot jedynie wówczas, gdy człowiek ma do załatwienia wielkie, różnicowane sprawy i musi dźwigać na grzbiecie większy tobół z *przedmiotami*, a nie może pozwolić sobie na jednego lub dwu krzepkich służących. Często widywałem dwu takich mędrców uginających się pod uciskiem owych brzemion, jak u nas wędrowni kramarze. Gdy napotkali się w ulicy, kładli na ziemię swe tobóły, otwierali je i rozmawiali przez godzinę, by później spakować narzędzia i pomógłszy sobie nawzajem w dźwignięciu brzemienia, rozejść się.

Lecz dla krótkich rozmówek człowiek może nosić dostateczną ilość narzędzi w kieszeniach lub pod pachą, a gdy jest u siebie w domu, niczego mu nie zabraknie; tak więc, komnata, gdzie zbiera się towarzystwo uprawiające tę sztukę, wypełniona jest leżącymi pod ręką *przedmiotami*, stanowiącymi treść tych wymyślnych rozmów.

Inną wielką korzyścią, jaką przyniosłby ów wynalazek, byłoby przemienienie go w ogólnoludzki język, zrozumiały przez wszystkie

cywilizowane narody, których przedmioty i narzędzia są, ogólnie rzecz biorąc, jednakie lub bardzo podobne, tak że znaczenie ich łatwo byłoby zrozumiane. I tak, można byłoby mianować ambasadorów, aby układali się z cudzoziemskimi władcami lub ministrami, nie znając zupełnie ich języka.³⁰

Swift, który miał znakomitą orientację w stanie nauk swoich czasów i prowadzonych wtedy debatach intelektualnych³¹, celowo przemieszał ze sobą w tym opisie kwestie istotne z nonsensami, doprowadzając w ten sposób cały problem relacji „słowa – rzeczy” do absurdu. Wymyślony przez niego obraz akademii w Lagado, a zwłaszcza tych spośród jej członków, którzy próbują porozumiewać się ze sobą, demonstrując przedmioty/rzeczy, zamiast o nich mówić, stanowi emblemat problemów zachodzących na linii „świat – umysł – język” co najmniej równie nośny intelektualnie jak sławna „chińska encyklopedia” z eseju Borgesa o języku wynalezionym przez Johna Wilkinsa (który był Anglikiem o pół wieku starszym od Swifta) – a jednak obraz ten nie zrobił równie zawrotnej kariery w imaginarium intelektualnym naszej cywilizacji. Dlaczego tak się stało?

Stało się tak być może dlatego, że jadowita ironia Swifta obnażyła najbardziej niewygodne dla *hommes des lettres* aspekty tych problemów, podczas gdy Borges skupił się na łagodnie ironicznej grze odniesień wewnątrzjęzykowych, nie przerywając łańcucha znaczących i znaczonych gwałtownym i nieprzyjemnym zderzeniem z rzeczywistością – co właśnie uczynił Swift. Borges, puszczając niewidome oko do swoich odczytanych czytelników, dawał im do zrozumienia, że epistemologiczny *Weltschmerz* można złagodzić czy nawet usunąć, jeśli damy (my, piszący, czytający, rozmyślający) samym sobie dyskretnie przyzwole nie na pełną arbitralność w dopasowywaniu kategorii słów

³⁰ Jonathan Swift, *Podróże do wielu odległych narodów świata*, przeł. Maciej Słomczyński, Kraków 1979, cz. III, rozdz. 5, s. 200–201.

³¹ Zob. np.: Marjorie Nicolson, Nora M. Mohler, *The Scientific Background of Swift's Voyage to Laputa*, „Annals of Science” 1937, vol. 2, s. 299–334. W cytowanym passusie wyraźne są ślady ówczesnych idei stworzenia języka uniwersalnego, rozważanych między innymi w londyńskim Royal Society.